Pogoda dla mocarzy

23 grudnia 2023

We wrześniu tego roku wojska Azerbejdżanu zaatakowały ormiańską enklawę Górnego Karabachu, zajmując ją niemal bez walki i wypędzając ponad 100 tys. osób, czyli jakieś 90% jej mieszkańców. 8 października, w dzień po przełamaniu 17-letniego izraelskiego oblężenia Strefy Gazy przez Hamas, armia izraelska rozpoczęła bezprecedensową – choć zarazem którąś z kolei – inwazję, w ciągu miesiąca wystrzeliwując na najgęściej zaludnioną strefę miejską świata pociski o sile większej niż bomba atomowa zrzucona przez Amerykanów na Nagasaki, i prawdopodobnie zabijając więcej cywilów niż armia rosyjska w Ukrainie przez półtora roku agresji na ten kraj. Wreszcie na początku listopada władze Pakistanu ogłosiły zamiar pozbycia się ze swego terytorium 1,7 mln uchodźców z Afganistanu, wśród których jest wiele osób, które urodziły się już na terytorium kontrolowanego przez Islamabad Peszawaru.

Trzy różne miejsca i różne wydarzenia – bo Karabach to stawka konfliktu między dwoma państwami, w Peszawarze celem agresji są obozy uchodźców, w Gazie kontekstem dla masakry jest izraelska okupacja i kolonizacja Palestyny. Można je jednak łączyć. Przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze wszędzie mamy do czynienia z czystką etniczną. W Karabachu już do niej doszło. W Strefie Gazy trwa na naszych oczach – z miasta Gaza wypędzono już niemal 1,4 mln osób, burząc dziesiątki tysięcy domów. W Pakistanie prawdopodobnie wkrótce się zacznie. Drugi powód zbliżający do siebie pozornie odległe wydarzenia polega na tym, że w każdym z tych przypadków Zachód zareagował z umiarkowanym zainteresowaniem, tak mocno kontrastującym z deklarowanym przez jego liderów i liderki przywiązaniem do praw i wartości z jakichś powodów nazywanych zachodnimi. Jeżeli zaś już do reakcji doszło – jak to ma miejsce w przypadku Strefy Gazy – to sprowadza się ona do bezwarunkowego poparcia dla Izraela, słusznie odczytywanego przez premiera

Netanjahu jako zielone światło do intensyfikacji inwazji, która zdaniem wielu organizacji praw człowieka i ONZ już zasłużyła sobie na miano ludobójstwa.

Wszystko to mówi nam bardzo dużo o przywiązaniu Zachodu do uniwersalnych praw i wartości. Rzecz jasna nie dowiadujemy się niczego nowego. Nie po raz pierwszy przecież opadła maska obrońców zasad i wolności przed autorytaryzmem – skądinąd brana za dobrą monetę tylko przez pożytecznych idiotów zachodniego imperializmu, których akurat w Polsce nie brakuje. Specyfika obecnej sytuacji polega jednak na tym, że jeszcze kilkanaście miesięcy temu opinia publiczna i elity polityczne wrzały tu z oburzenia na imperializm. Nie tylko w mediach społecznościowych domagano się – skądinąd całkiem słusznej – dekolonizacji Rosji, ale też mniej uzasadnionego zamykania granic przed rosyjskimi uchodźcami oraz zakazu wykonywania symfonii Szostakowicza. Dziś, w obliczu zbrodni dokonywanych przez przyjaciół i protegowanych USA, nasz dekolonialny zapał gdzieś się ulotnił. Nikt nie domaga się sankcji przeciw Azerbejdżanowi i Izraelowi, nikt nie piętnuje planów Pakistanu. To, co przed chwilą nazywaliśmy imperialną agresją, jest dziś wojną z terrorystami, czystka etniczna niepostrzeżenie zmieniła się w niemal dobrowolny exodus, wszyscy zapomnieli chętnie przywoływanego do niedawna słowa ludobójstwo. Koniec końców okazuje się, że – parafrazując serialowego klasyka – bardzo nie lubimy widoku bitego człowieka… ale tylko wtedy, gdy bije ktoś inny.

Jak w starych dobrych czasach zimnej wojny problemem są dziś tylko ci łajdacy, którzy z jakichś powodów rywalizują z Zachodem na arenie geopolitycznej. Ci, którzy tego nie robią, zasługują na miano łajdaków naszych – co najmniej tolerowanych, często akceptowanych, a zwykle wspieranych. W momentach zaś, gdy rywalizacja międzynarodowa się zaostrza i słabnący Waszyngton gorączkowo liczy swoje szable, nawet ofiary „naszych łajdaków” stają się podejrzane. Czujne oko polskiego publicysty zdemaskuje związki Erewania z Moskwą, czy

Hamasu z Teheranem, albo choć odkryje centrum dowodzenia terrorystów pod szpitalem w Gazie. To wystarcza, by zbagatelizować cierpienia milionów i usprawiedliwić ich katów.

Z punktu widzenia części świata uważającej się za ostoję demokracji Ormianie z Karabachu, Palestyńczycy z Gazy i Pasztunowie z Peszawaru nie zasługują na prawo do samostanowienia, wsparcie wojskowe i solidarność polityczną. Wszyscy oni zawinili, bo znaleźli się po niewłaściwej stronie geopolitycznej rozgrywki. Nie z własnej winy co prawda, ale dlatego, że stoją na drodze do kolonialnej lub nacjonalistycznej ekspansji naszych przyjaciół. Bądź co bądź nawet rzeź 14 tys. cywilów w Gazie nie skłoniła Unii Europejskiej do rewizji specjalnych stosunków z Izraelem cieszącym się mocną pozycją kandydata do członkostwa we wspólnocie. Także Pakistan będący w sojuszu wojskowym z Waszyngtonem i Azerbejdżan – protegowany Turcji nie muszą się obawiać reakcji społeczności międzynarodowej.

Wszystko to pokazuje, że na świecie zapanowała dziś pogoda dla mocarzy. To czas, gdy interesy mocarstw stoją ponad prawem narodów i aspiracjami społeczeństw. Rywalizujące potęgi chętnie się do nich odwołują, ale tylko wtedy, gdy da się to wykorzystać w ich własnej grze. Demokracja ustępuje geopolityce przebierającej się w szaty realizmu. Wsparcie dla Ukrainy okazało się wyjątkiem – nie pierwszym i być może nie ostatnim – potwierdzającym regułę.

Autorstwo: Przemysław Wielgosz
Źródło: Monde-Diplomatique.pl